*Miasto brajtszwanców*

Utarło się nazywać Łódź miastem dymiących kominów,   
polskim Manchesterem itp. itp. Te szumne etykiety tak dalece   
przylgnęły do Łodzi, że wywołały nawet zamieszanie w dzi-   
siejszym moim reportażu, którego tytuł kłóci się wyraźnie   
z montażem rysunkowym. Prawda?

A stało się to w sposób następujący, kiedy oddawałem   
znakomite karykatury Stasia Dobrzyńskiego na warsztat na-   
szemu wydziałowi ilustracyjnemu, prosiłem o dorysowanie   
do nich tła, symbolicznie oddającego charakter Łodzi. No   
i oczywiście na drugi dzień ujrzałem te imponujące, buchają-   
ce kłębami czarnego dymu kominy, które macie państwo przed   
sobą. Gdy tymczasem dla mnie jedynym dymiącym symbolem   
Łodzi jest gęsina, a niezależnie od tego brajtszwance.   
 Zaraz to uzasadnię. Byłem w Łodzi kilkakrotnie i nigdy   
nie natknąłem się na żaden komin. za to brajtszwance widzia-   
łem w ilościach niespotykanych w żadnym innym mieście   
polskim, i to nie w sklepach kuśnierskich, a w kawiarniach,   
nie na wieszakach czy woskowych manekinach, a na żywych,   
płomiennych brunetkach tudzież chłodnych na pozór wampo-   
watych blondynkach. Nie wiem, może dlatego tak się działo,   
że zwykle prosto z pociągu dostawałem się do jakiegoś wy-   
twornego lokalu, skąd kominów absolutnie dojrzeć nie można   
było.   
 Łódzcy moi przyjaciele zaś, z którymi potem zwiedzałem   
miasto, pokazywali mi wprawdzie jego wspaniale rozwinięty   
przemysł, ale tylko na odcinku gastronomicznym i to w po-   
staci gotowych wyrobów, demonstrowanych przy akompania-   
mencie dyskretnej muzyki restauracyjnej.

  Próbki tych produktów w charakterze znakomitej, wę-   
dzonej - zdaje się, gęsiny - ofiarowywano mi wraz z okolicz-   
nościowymi przemówieniami już na dworcu, przy wyjeź-   
dzie. 

198 

Teraz jest chyba jasne, dlaczego tak a nie inaczej ukształ-   
towały się w mej wyobraźni symbole Łodzi.

  Bo poza tym między Łodzią i Warszawą nie ma żadnych   
różnic. Zwłaszcza jeśli przyjedzie się torpedą. Szybkość jaz-   
dy i tramwajowy jej charakter sprawiają, że znalazłszy się   
po upływie półtorej godziny na Piotrkowskiej mamy wraże-   
nie, że w dalszym ciągu spacerujemy Marszałkowską. Takie   
same neony, takie same sklepy, takie same twarze... chociaż   
nie... Warszawa nie ma oryginalnego Abisyńczyka, urodzo-   
nego na miejscu, nie posiada wszechwiedzącego pana S.,   
którego wszyscy pytają: „Kochany Panie S., powiedz pan,   
co u mnie słychać?” a on recytuje bez zająknienia nowi-   
ny, o jakich pytający nie wiedział, jeśli od godziny nie był   
w domu.

Warszawa wreszcie marzyć nie może o posiadaniu takie-   
go np. mistrza Plamiaka, chyba że w charakterze obywatela   
honorowego.   
 Łódzki Abisyńczyk, nazwijmy go dla krótkości dajmy   
na to Ras Cukierman, absolutnie nie jest Murzynem, nie   
chadza po mieście w białym prześcieradle, nie ma brzydkie-   
go zwyczaju pozbawiania zabitych swych wrogów cech   
męskości, bo przede wszystkim nie ma wrogów, gdyż jest   
przemiłym, elegancko ubranym młodzieńcem, rezydującym   
przeważnie w Ziemiańskiej, a nawet zachodzi czasem do   
włoskiej lodziarni na Przejazd. Tym niemniej jest to Etiop-   
czyk jak najbardziej autentyczny, gdyż mając w swoim   
czasie jakieś kłopoty z obywatelstwem, postarał się o abi-   
syńskie i otrzymał je wraz z paszportem i innymi formalnoś-   
ciami. Poza tym pozostał łodzianinem z krwi i kości, co nie   
przeszkadza, iż uchodzi tu za autorytet w sprawach kraju   
negusa.   
 Z nim to odbyłem szereg wywiadów w sprawach sytuacji   
wojennej w sprawach Abisynii. Sondowano jego opinie co do   
obronności Addis Abeby i starano się poznać jego zdanie 

199